

Entropia

Tomasz Garncarek

27/11/13 - 17/03/14

Spis treści

I	4
II	6
III	9
IV	13
V	16
VI	19
VII	21
VIII	25
IX	27
X	28
XI	30
XII	32
XIII - część 1/2	34

Lata szczęśliwe to lata stracone, oczekujemy cierpienia, żeby pracować. Idea cierpienia przedwstępnego kojarzy się z ideą pracy, lękamy się każdego nowego dzieła myśląc o bólach, jakie będziemy musieli znieść, zanim powstanie ono w naszej wyobraźni. A rozumiejąc, że cierpienie to rzecz najlepsza, jaką można spotkać w życiu, myślimy bez trwogi, niemal jak o wyzwoleniu, o śmierci.

Marcel Proust

I

L-stadt

Chłodny, słoneczny wieczór polskiej wiosny. Ubrałem kozuch, bo w tej strefie geograficznej nie można inaczej. Mieszkałem wtedy na ulicy Srebrzyńskiej, na osiedlu Koziny. Koziny słynęły w całej Łodzi z akumulacji bandziorów i łobuzów. Nazywały się podobno w ten sposób dlatego, że niegdyś, całkiem niedawno, wypasały się tu na licznych łąkach kozy. Koza to symbol szatana. Kozy można było także spotkać w postaci wlepek na urządzeniach do wyciskania w lokalnej siłowni. Stanowiły emblemat miejscowej drużyny sportowej. Były poprzekreślane i porwane jakimś ostrym narzędziem. Prawdopodobnie robota wrogiego, alternatywnego klubu, okupującego inną część miasta. Dzielnica Koziny powstała na osi wzdłuż węzła kolejowego wiodącego z zachodu – Niemiec i Berlina w samo centrum imperium bawełnianego Izraela Poznańskiego. Tą linią Poznański przywoził do swoich fabryk i magazynów bawełnę, która przybywała wcześniej do portów morskich w Hamburgu. Kiedy mówimy o rewolucji przemysłowej na lekcjach historii mamy na myśli niezwykle i pomysłowe wynalazki wybitnych inżynierów – na przykład maszynę parową. Zapominamy zwykle o bardzo istotnym aspekcie tego przełomu. Rewolucja nie mogłaby mieć miejsca, a na pewno nie na taką skalę, nie z taką dynamiką, i nie o tym charakterze, gdyby nie niewolnicza praca milionów afrykańskich, amerykańskich i azjatyckich kolonii. Postęp Europy wziął się z wyzysku i krwawego potu czarnych, żółtych, czerwonych ludzi. Żaden Łodzianin, z nostalgią wspominający złoty wiek swojego miasta, wiek, który dawno przeminął, nie wpadnie na to, czym okupiona została ta świetność. Wszyscy oni płaczą tylko o zniszczeniu przemysłu tekstylnego w wyniku przemian ustrojowych lat '90. Wtedy to polski ekonomista – Mieszko Baltazarowicz uznał, że należy zlikwidować państwo, i zastąpić je własnością prywatną. Strach pomyśleć uczciwemu obywatelowi, co się wtedy działo. Rozmawiałem o tym z Baltazarowiczem, kiedy niedawno przyjechał do Łodzi na spotkanie ze studentami ekonomii. Przepelniona, gigantyczna, nowoczesna sala uniwersytetu ekonomicznego stała w samym środku zdechłego miasta. Beton i szkło świeciły wśród pobojowisk odpadającego tynku gnijących fabryk, z których rozszabrowano resztki maszyn i urządzeń włókienniczych. Oczodoły okien blikowały resztkami szklawa. A prowadzący spotkanie profesor mówił na powitanie do Baltazarowicza: “Panie profesorze, widzę, że na następny pana przyjazd będziemy musieli podwoić objętość tej sali – pęka w szwach. “Baltazarowicz roześmiał się uprzejmie. Promował właśnie tego dnia swoją książkę o wolności. Gruby, przepastny tom liczył kilkaset stron. Książka była sprzedawana w skandalicznie przystępnej cenie dziesięciu złotych. Baltazarowicz wszedł na mównicę i powiedział: “Drodzy studenci, oferuję wam moją książkę o wolności. Zniszczyłem system komunistyczny. W zamian dałem wam wolność prywatnej inicjatywy. Wolność Tomku w swoim domku.

Hulaj dusza, piekła nie ma. Jak widzicie, pozycja, którą wam proponuje jest skandalicznie tania. To dlatego, że zasponsorował ją w całości mój przyjaciel, biznesmen, który skorzystał na przemianach ustrojowo ekonomicznych jakie wprowadziłem. Wziął w ręce swoją wolność. Nikt chyba nie zaprzeczy, że demokracja to najlepszy z ustrojów.”

“Panie Baltazarowicz”, zacząłem, kiedy przyszła moja kolej, “nie wiem czy pan słyszał, ale jest dwóch ludzi, którzy nie zgadzają się z panem co do oceny walorów demokracji. Może pan ich zna. To Platon i Arystoteles. Są oni zdania, że w demokracji dochodzą do głosu najniższe ludzkie instynkty. Chciwość, prywatność, egoizm. W demokracji każdy chce być tylko szczęśliwy, każdy dąży tylko do własnej przyjemności. Stąd rodzi się miernota i uśrednienie. Tania rozrywka i bezmyślność. Demokracji przeciwstawiają oni arystokrację. Ale nie traktują tego pojęcia tak jak my. Dla nich arystokrata to nie ktoś, kto siedzi na salonach, popijając cappuccino, podczas gdy robotnik zapierdala na wózku widłowym w markecie. Nie. Tak jest w demokracji. Dla nich arystokrata, wojownik, filozof to ktoś, kto umie i lubi odmawiać sobie przyjemności. Kto potrafi kontrolować swoje instynkty. Taki osobnik, władający sobą, ma siłę i moralne prawo zaprowadzać porządek. Bowiem jego porządek to równowaga we wszechświecie. To nie wysługiwanie się innymi istotami tam, gdzie nie jest to konieczne dla przeżycia, a gdzie daje to tylko satysfakcję podniebienia czy lędźwi. Teraz: co do przemian ustrojowych jakie pan zaprowadził. Wiemy, że wzorował się pan na liberalizmie ekonomicznym USA. Zna pan Chomskiego. On uważa, że w Polsce został przeprowadzony śmiały eksperyment rynkowy. Śmiały o tyle, że jego pomysłodawcom nigdy nie przyszłoby zrobienie czegoś podobnego we własnej ojczyźnie. Na tym polega hipokryzja liberalizmu rynkowego. Kiedy w Polsce kazano niszczyć łódzki przemysł, bo podobno się nie opłacał, w Ameryce pompowano miliony dolarów w upadające giganty. Koncerny motoryzacyjne dostawały oszałamiające zastrzyki funduszy. U nas się cięło. Łódź to sztandarowy przykład domniemanego sukcesu pańskiej polityki. Dziw bierze, że nie boi się pan tu przyjeżdżać. W normalnym kraju, na przykład w Irlandii Północnej, lub w krainie Basków powieszono by pana na pierwszym lepszym drzewie.”

“Skończył pan? Proszę usiąść!”

“Cóż, korzystam ze swojej wolności. Czytałem pańską książkę.”

Na sali zaległa cisza. W oczach profesorów pojawił się cień konsternacji. Jednemu przechyliła się muszka. Faktem jest jednak, że właściwie nie ma czego żałować. Murzyni odetchnęli z ulgą po zagładzie Łodzi i wrócili do swoich polowań na tygrysy. W zasadzie, krach ekonomiczny naszego miasta to było błogosławieństwo dla dzikiej natury. Dzikie mech i chaszczki zaczęły porastać uroczyiska przemysłowych kompleksów, wypalanych z czerwonej cegły jak zamki Krzyżowców. Robotnikom koła zamachowe i turbiny przestały urywać ręce. Świeża krew nie tryskała więcej na białe bele gotowych wyrobów tekstylnych.

II

Wernisaz

Mój dom, jak powiedziałem, stał przy boczniczy kolejowej Poznańskiego. Idąc dalej, na wschód, do centrum miasta natrafiało się na bordowe kłocze fabryk, domy robotnicze – tzw. familiaki, oraz wystawne pałace właścicieli. Niedaleko takiego łódzkiego Wersalu znajdowała się ulica Brunatna. Na Brunatnej mieściła się galeria sztuki. Miała ona bogatą tradycję. W latach '80, w okresie przełomu, znany łódzki performer, Franz Sójka zaprosił do Łodzi większość najznakomitszych artystów wiodącego wówczas nurtu – neoawangardy. Na dawnym zamku Poznańskich odbyła się konferencja. Obok, w fabrykach, które nosiły wtedy imię dziewiętnastowiecznego rewolucjonisty – Marchlewskiego trwał strajk. Zebrani na salonach artyści postanowili zejść do robotników, do szwaczek. Dla nich było to ziszczenie snu o społeczeństwie formującym się bez wodzów, samosterującym bycie wspólnotowym, o swoistej, zorganizowanej anarchii. Zostali życzliwie przyjęci. Pozostawili w mieście wiele swoich dzieł, które nie zrozumiane przez nikogo rdzewiały przy skwerach, aż zostały wywiezione na złom. Organizator, Sójka, był związany z Galerią mieszczącą się na Brunatnej. Była to odrapana, smętna arteria miasta. Niegdyś, przed drugą wojną, tętniła życiem. Jak donosi miejscowy szewc antysemita – roilo tu się od żydowskich hoteli, restauracji, burdeli. Z czasem podpadały ozdobne balkony, a te pozostałe utracono seryjnie z przejeżdżającą w tym celu ciężarówką. W jednej z bram, na pierwszym piętrze, mieściło się prywatne mieszkanie, gdzie spotykali się awangardowi artyści. Pili wódkę i palili papierosy. Czasem któryś z nich wychodził na środek pustych przestrzeni pomieszczeń wystawienniczych, onanizował się publicznie, rozbijał poduszki z pierzem na głowach widzów, czy rozlewał na nich alkohol. Przychodziły nastoletnie uczennice akademii sztuk pięknych, a liniejący profesorowie i asystenci tejeż uczelni ruchali je w łazience za zaliczenie. Taka to była bohema. Tego wiosennego dnia zawędrowałem tutaj i ja. Rozejrzałem się nieśmiało.

Dwie cizie. Bez obstawy. Same. Wypindrowane. Nabite na szpilki. Wyglancowane Max Factor. Obwieszane orderami z tombaku. Trochę jak żywa reklama Jablonexu. Kołyszą się na tym niewygodnym obuwiu, jakby miały zaraz spaść, jak księżę de Gouremant¹ z wysokości swoich 83 lat. Spijały zwyczajowy Tokaj. Snuły się po salach wystawowych, coś tam przebąkując do siebie od czasu do czasu. Rozglądając się. Niby to niewinnie. Ale mrugająco, blikująco spod gęstego tuszu rześistych rześ i kredki. Brakowało im tylko egzemplarza “Vouga” albo “Twojego Stylu” pod pachą. Stały przed prowokacyjnym obrazem, przedstawiającym sztuczną szczękę pomalowaną na kolor niebieski i zrobiły zaintrygowaną minę. Jedna nawet chyba przysnęła na stojąco.

¹ W poszukiwaniu straconego czasu, przełożył Julian Rogoziński, Warszawa 1965, str. 470.

“Nie sądzicie, że to w stylu Duchampa?” spytałem podchodząc, i wskazując na dzieło na wprost nas.

To okazało się dla nich za trudne. Przegiąłem. Straciłem je. Chociaż nie. Nie do końca. Nie oczekiwały, widać, wielkiego wzięcia. Bo trafiliśmy razem do kuchni. Tam wrzała w najlepsze zabawa. Ledwo co dostrzegałem partnerki zza gęstej chmury dymu. Krztusiłem się i dławiłem. Przy ławie, zajmującej szczelnie prawie całe pomieszczenie, dwie moje lale obalały z gwinta winiasza i jarały cienkie papierosy z cienkich opakowań jeden za drugim.

Nagle do galerii wszedł Czesław Stonoga. Biznesmen. Mój brat. Dealer sztucznej biżuterii. Pojawił się z obstawą. Zbił majątek na różańcach na beatyfikację papieża. Za Stonogą szedł jego nadworny projektant różańców – Henryk Szkop. Były różańce secesyjne, rokoko, art deco. Były też glamour. Były takie, gdzie przy otwieraniu relikwiarza zespół Ich ośmioro wykonywał swój najnowszy przebój – *Ciało Marii*. Poza tym był tam jeszcze jeden pan. Błażej Łuczywo. Błażej był po ASP i w swoich latach trzydziestych pozostawał z wyobrażeniem tej artystycznej uczelni, które nakazywało mu noszenie strojów w kolorze czarnym. Ale że urodził się kilkadziesiąt lat po bumie filozofii egzystencjalnej – kiedy to intelektualistów obowiązywały takie uniformy – jego ciuszki zalatywały już chińszczyzną, metkowaną jakimś szumnym logo. Jego koszulki szczelnie opinały ciało, którego nie miał, poza warstwą zjełczałego tłuszczu. Lakier utrzymywał na głowie blond farbowany boysband hełm, z grzywką fikuśnie wymodelowaną nad czołem a la przypadek i niewymodelowanie.

“Henryk, popatrz”, powiedziałem do projektanta różańców bo go znałem: “to są twoje zagorzałe fanki.” Wskazałem na moje dwie spłoszone lale. W tym czasie Błażej Łuczywo skorzystał z mej nieuwagi. Głęboko spojrział w oczy Hanny Remuda, bo tak nazywała się jedna z mych panien, zamrugał dosztukowanymi rzęsami, pierdnął bezgłośnie, i położył łapę na jej rączce. Jej pierś zaczęła się coraz wyżej unosić. Zaczęła głęboko oddychać. Trwać nieruchomo w kontemplacji przybyłego tak niespodziewanie szczęścia. Nie obejrzałem, jak już lecieli w ślimaka. Tę mamy z głowy, pomyślałem. Została jeszcze druga.

“A może pojechalibyśmy wszyscy razem do mnie. Mam fajny ogródek, moglibyśmy zagrilować”, spróbowałem niepewnie.

Hanna, co jej się właśnie trafiła los na loterii jak ślepej kurze ziarno, wycodziła z pogardą: “Z tobą można najwyżej pogadać”.

No tak, zobaczmy jeszcze, co zrobisz z nowym Kenem.

Należało się zwijać. Przy drzwiach zaczepił mnie nawalony dresiarz w dzierganej czapeczce sycylijskiego padrino. Albo raczej pana Stefana – emeryta z czteropiętrowca, co się właśnie wygrzewa na balkonie w niedzielne, sierpniowe popołudnie. Podczas, gdy żona smaży kotlety. A pies pudel merda ogonem. Jakiś Zenon z Bałut czy ktoś.

“Jesteś Żydem?” wybełkotał, bo miałem na głowie prowokacyjną jarmułkę. “Czemu nie chcesz ze mną rozmawiać. Czemu mi nie odpowiesz?”, kolebał się ostatnim wysiłkiem. “Uważasz, że nie zasługuję sobie, żeby mi odpowiedzieć? Dlaczego nie możesz mi odpowiedzieć? Jestem jakiś gorszy od ciebie?”

“Wiesz co”, zagadnąłem go, “spierdalaj”. I wyszedłem.

Kiedy za tydzień przybyłem na kolejną wystawę. jednej z dwóch dziewczyn, które poznałem przy ostatniej wizycie nie było wcale, a druga przyszła już z nowym chłopakiem –

tym z zeszłego tygodnia. Jak zazwyczaj, robiłem sobie filmik na aparacie. Kręciłem wszystko, co się tam działo. Podszedłem zatem do tych dwojga i spytałem jak leci, nagrywając to. On przyjął rolę przewodnika stada, jelenia-przywódcy, i zabrał głos w imieniu obojga.

“Wiele się wydarzyło, oj wiele.”

I tu się zawiesił. Nie umiał nic więcej dodać. Spojrzał na nią, że może ona potwierdzi, że tak wiele. Ale ona tylko zatrzepotała rzęsami, spuściła na moment wzrok, i speszyła się. Cóż to mogło być, to wiele, które ją wprawiało w zakłopotanie, a jego napawało taką dumą. Czy trudno się domyślić? Nastąpiło, najpewniej, cielesne zbliżenie. Samiec był od-tąd pewny swej własności – nadęty i napuszony “szczęściem”. Dziewica została wzięta, i jako taka reagowała teraz ze standardowym zmieszaniem. Była zakłopotana, bo dziewczę zawsze musi być onieśmiałone wobec samca, który je pokrywa. Takie są zasady tej gry. Był to związek typowo polski, typowo męsko-samiczy. On ją klepał w dupę jak krowę – jesteś moja Stefka, a ona rechotała. Dolna szczęka jej opadała, rozdziawiała usta, rumieniła się, trzepotała rzęsami, a następnie z wdzięcznością rzucała mu się na szyję i obcałowywała go. Patrzyłem na to z przykrością i zażenowaniem. Na szczęście obok znajdowało się dziecko. Nieskalana obyczajowym układem istota. Dziewczynka robiła fikołki. Zacząłem kręcić dziecko na taśmę. W dziecko uciekłem. W czystość. W szczerłość. W równorzędność relacji. Świeżość dziewczynki przeciwstawiłem sztuczności i zepsuciu, które przed chwilą odnotowałem. Dzieckiem się stałem. Jako taki niepojęty dla nich – dorosłych. Przegrałem, nie pozostawało mi nic innego, jak znaleźć coś, w czym mógłbym poczuć się jednak mniej stratny.

III

Dom

Miejscówka, w której moja rodzina prowadziła swoje interesy położona była na obrzeżach miasta. Kiedyś, w dawnych czasach stały tu różne wtryskarki, obrabiarki do piórników, kosmicznych pojazdów i rycerzyków z Gwiezdných Wojen. Maszyny te były bogato upstrzone gołymi babami z wielkimi cycami w różnych pozach, umieszczanymi tam przez pracowników. W dobie Internetu, kiedy w sieci bez problemu można wyszukać sobie dowolnego pornusa dla dowolnie zorientowanego zбочeńca jest to prawie nie do pomyślenia. Wtedy jednak, w latach osiemdziesiątych, interaktywna rozrywka była jeszcze ciągle bardziej związana z codziennością. Gołe dupy widniały na długopisach. Można było, ustawiając długopis pod określonym kątem, dowolnie rozbierać i ubierać jędrną dziewczuchę. Obracając wymyślną pocztówkę, podobnie, udawało się roznegliżować kuszącą Azjatkę z bambusową parasolką w dłoni. Cycate blond Samanty zdobyły breloczki do kluczy – przebój podstawówki. Te ostatnie zostały w końcu częściowo wyparte przez pomysłowe elektroniczne urządzenia dla zapominalskich. Jeśli komuś zapodziały się gdzieś w domu kluczyki wystarczyło, że zagwizdał, a zguba odpowiadała mu cybernetycznie wygenerowanym sygnałem. Lata osiemdziesiąte cechowało zachłyśnięcie się masowym postępem. To wtedy pojawiły się pierwsze ogólnie dostępne zdalnie sterowane samochody. Kiedy solidarnościowi działacze gnili w kazamatach służb bezpieczeństwa, mój ojciec opracowywał bardziej wyrafinowaną taktykę walki z systemem totalitarnym. Zamiast bibuły, umieszczał wywrotowy przekaz na okładkach do zeszytów, które produkował. Sportowe, luksusowe samochody, fantastyczny dobrobyt stymulowały wyobraźnię nastolatków, nie burząc sadzawki cenzury. I to właśnie ci młodzi ludzie niedługo potem dokonali przewrotu.

Wiele lat później spadkobierca fortuny, Czesław Stonoga, doprowadził do częściowego przekształcenia firmy ojca. Zrobił to w duchu postępu i rozwoju. Polegało to, między innymi, na znacznym poszerzeniu przestrzeni biurowej i oddzieleniu jej od reszty zakładu. Sam gabinet Stonogi był wielkości średniej hali produkcyjnej. Stonoga z reguły tam nie bywał. Nie miał na to czasu ani ochoty. Był hipsterem. Wraz ze standardem warunków pracy zwiększył się również dystans pomiędzy właścicielem a robotnikiem. Mała zaangażowanie tego pierwszego. Kapitalizm kręcił się jak perpetum mobile. O to w nim chodziło – o wywalczenie sobie maksimum wolnego czasu. Wzrosła alienacja. Relacje nabrały bardziej formalnego, zdystansowanego charakteru. Można było oczekiwać, że w niedalekiej przyszłości powróci stara, dobra, polska tradycja czapkowania. Stonoga maskował swoje orientacje światopoglądowe, przybierając strój awangardowego artysty-outsidera. Jechał na przykład z podobnymi do siebie przyjaciółmi do lasu budować dom z gliny i słomy. Ale jak się przyjrzeć, w koło, między drzewami zaparkowane były same luksusowe bry-

ki. Wszyscy wracali następnie do wygodnych, podmiejskich rezydencji odpocząć po życiu. Wpasowałem się w ten krajobraz. Dyskretny szum klimatyzatorów, ekspres do kawy i widok na starannie przyszyty krzaki z okien biura. Niekiedy Stonoga przebąkiwał ojcu, że mam oddać klucze, bo wprowadzam wśród pracowników marksistowski ferment. Zastanawiałem się, kto mu doniósł. Dopiero później uświadomiłem sobie, że we wszystkich pomieszczeniach były zainstalowane kamery, rejestrujące każdy krok w zakładzie.

Szkola

Podjąłem studia doktoranckie. Na pierwszy rzut oka uderzyła mnie różnica pomiędzy uczelnią zachodnioeuropejską, gdzie zdobyłem wstępną, standardową edukację, a jej polskim odpowiednikiem. Otóż toalety nie były pokryte społeczno-politycznymi w wymowie, krytycznymi uwagami korzystających z nich studentów – zamiast tego polskie toalety świeciły schludną, sterylną czystością. Na korytarzach nie były porozwieszane ulotki o wymowie anarchistyczno-komunistycznej. Ścian nie pokrywały graffiti. Żadne tam sierpy i młoty. Zamiast tego schludne obrazki – święty ksiądz filozof Kirszner na przykład. Przez ten rok, który tam spędziłem odbyła się tylko jedna konferencja naukowa. Jej temat mówił za siebie – Bóg mistyków, Bóg filozofów. Przed wejściem do budynków uczelnianych nigdy żaden aktywista marksistowski nie zaczepiał cię agitując za jakąś ważną społeczną sprawą. Zamiast tego grzeczni studenci zbierali się po regularnych lekcjach na zajęcia różnych kółek naukowych. Zero manifestacji na ulicach. Haseł – przecz z kapitałem. Cisza. Czas. Kant. Abstrakcja. Neutralna ansliza strukturalna.

Udałem się na zajęcia do niejakej profesor Buchmańskiej. Buchmańska na dzień dobry dała mi z dumą do przeczytania kilkuset stronicowe opracowanie swojego autorstwa, w języku angielskim, wydane przez jakiś pomniejszy amerykański uniwersytet. Wykłady miały wymiar seminaryjny. Każdy z uczestników przedstawiał wyniki swoich dociekań. Siadał za biurkiem, poprawiał okulary, rzucał jakiś akademicki żart, z którego wszyscy się po akademicku śmiali. Przybierał naukową pozę i referował. Potem przychodziła dyskusja. U tej Buchmańskiej właśnie poruszony został problem natury epistemologicznej. Prelegent, za jakimś znanym francuskim filozofem, utrzymywał, że Ludwik Pasteur wymyślił sobie bakterię Wąglika, żeby “wynaleźć” na nią następnie szczepionkę, i zrobić w konsekwencji karierę naukową. Pani Buchmańska klasnęła w rączki – tak jej ta nowoczesna teoria przypadła do gustu.

“Zaraz”, przerwałem entuzjazm, “czy przypadkiem w ten sposób nie możemy dojść również do wniosku, że holokaust wymyślono sobie, żeby pewni historycy mogli zrobić kariery naukowe i tym podobne?”

“Proszę zamilknąć, nie udzieliłam panu głosu”, zagrzmiała Buchmańska.

“Chwila, chwila”, powstrzymałem ją, “to jest instytucja publiczna, opłacana z podatków obywateli a nie pani prywatne mieszkanie. Będę mówił to, co mi się podoba, i kiedy będę chciał.”

Buchmańska zrobiła się blada, a potem zielona. Zagryzała wargi, które jej posiniały. Nie była przyzwyczajona do niesubordynacji. Pochodziła ze starej polskiej rodziny, gdzie wieki dyscypliny dawno uporały się z krnąbrnością parobka. Z pomocą przyszedł jej dupoliz-asystent – Hans Maria Mariański. Uśmiechnął się do mnie ironicznie, załamał ręce, w jednej

z których dzierzył długopis, który z symulowanego wrażenia zsunął mu się po palcach na blat stolika, przy którym siedział. Popatrzył następnie po kolegach. A że lekcja dobiegła końca, zdjął z wieszaka swój czarny kapelusz z dużym rondem, przywdział długi czarny płaszcz flauszowy, i uklonił się w pas, nie zwracając już na mnie uwagi i kiwając głową pobłażliwie:

“Do widzenia pani profesor.”

Powrót Hanki

Minęło półtora roku. Wtedy odezwała się do mnie Hanka. Była jedną z tych lal, które czarowałem bez skutku w galerii na Brunatnej kilkanaście miesięcy temu. Obserwowałem nieco z musu jej perypetie. Błazej, narzeczony z boysbandu, wstawiał co jakiś czas ich wspólne foty na fejsa. Stąd docierały do mnie szczątkowe informacje o jej dotychczasowej karierze. A to miesiąc miodowy w Bombaju. A to szczęśliwe pedałowanie na rowerach wodnych, w bikini, spaleni słońcem na Mazurach. Gość, kiedy go spotykałem, cały w skowronkach informował mnie, że leci właśnie do Hanki. Że Hanusia to, Hanusia tamto. Srusia dupusia. W międzyczasie pochłaniał batoniki, kupował lody z automatu, popijał colą i zagryzał burgerem z donalda. Wsłuchiwał się w gównianą muzykę na skwerze na Piotrkowskiej podczas dorocznego festynu z watą cukrową i Ich pięcioro.

Siedziałem wtedy w wypasionej willi mojego brata Czesława na wsi. Lato w pełni. Cykały cykady za oknem. Pachniały świerki żywicowym musem. Czesław był w tym czasie z pielgrzymką gdzieś na jachtach nad morzem śródziemnomorskim. Dziwiłem się, że Hani i Błazeja z nim nie ma, bo do tej pory cała paczka się nie rozstawała. Podałem Hance przez facebooka namiary do mnie, oraz mój numer telefonu, gdyby nie mogła trafić. Zjawiła się prawie natychmiast. Wyskoczyła z nowego, srebrnego saaba. Zabujała się na długich szpilkach. Czarne, obcisłe leginsy ze złotymi guzikami opinały dość wydatne uda. “O Chryste!” przeraziłem się. Ciągnęła przez podwórko jak kaczka. Z kieszeni wystawały jej pojemniki z napojami wysokowymi. Dwie puszki z drinkami – gin and tonik. Posadziłem ją na kanapie. Skręciłem jointa. Była studentką, kończącą właśnie szkołę plastyczną. Jej dyplomowy projekt artystyczny zafascynował mnie od razu. Hanna studiowała przez wiele lat na wydziale tkaniny. Jeden rok nawet powtarzała – ponieważ z reguły zajmowała się czymś innym. Sądząc po jej profilu fejsbooka opróżnianiem bardzo dużych kufli piwa bądź kielichów winiasza – ewidentnie nie miała czasu na tkactwo. W istocie nie miała na nic czasu. Na szczęście z pomocą przyszła mamunia. Z racji stanowiska, zajmowanego w świecie mody przyszła dziecku z pomocą. Hanka wymyśliła zatem, że jej dyplomowym projektem artystycznym będzie instalacja. Polegało to na połączeniu ubioru z meblem. Na przykład fartuszek kuchenny, który mógł usztywnić się po naciśnięciu guziczka, podnieś, i stać się podręcznym stoliczkiem. Albo to – futro z norek, które miało w tylnej części wbudowany składany fotel. Nośło się ten sprzęt wkomponowany w okrycie wierzchnie. Był z bardzo lekkiego metalu, więc o prawie nie odczuwalnym ciężarze. Genialna dziewczyna, pomyślałem sobie. Ten jej pomysł kompleksowego mixu natychmiast mnie olśnił. Całkiem zgrabnie pomieszała tak niepasujące i dalekie od siebie rzeczy jak mebel i ciucha. Stworzyła z nich jeden, organiczny twór. To było genialne.

Od razu wyjaśniłem jej, jakie to może nieść za sobą implikacje natury obyczajowo politycznej. Stół czy inny solidny w sumie mebel, jako reprezentacja osiadłego stylu życia, doskonale odnosił się do kręgu kulturowego zachodu. Jednak stół tekstylno-przenośny, niczym namiot, w swej niestałej zwiewności przynależały raczej gatunkowo do koczowniczych, przemieszczających się nomadów z Bliskiego Wschodu. Cyganów ewentualnie. Dywan, namiot, turban, domostwo Świętej Rodziny wiezione na osiołku. Te dwa typy kulturowe – nomadzi i osiadli – były od wieków skłócone. Od czasów, co najmniej, Hannibala. Hanna miała szansę popchnąć naprawdę epokowy projekt artystyczny. Jej pomysł stanowił klasyczną odmianę konceptualizmu. Potrzebny był jej tylko manifest, wyjaśniający całą sprawę. Należało w nim napisać, że taka a taka artystka Hanka ma dosyć wojny w Zatoce Perskiej, dosyć WTC, że pragnie pokoju na świecie – zgody pomiędzy narodami i rasami. Osiadłym Zachodem i koczowniczym Bliskim Wschodem.

“To świetne!” zawołałem szczerze zachwycony.

“No tak, i znam jeszcze kino Godarda, mój wujek napisał książkę o Ordonównie, a moja ciocia współpracowała z Parandowskim,” dodała.

Spotkaliśmy się z Hanką znowu, na drugi dzień. Obejrzelśmy razem trudny film artystyczny, a ona kumała co jest grane. Jednocześnie miała te swoje szpilki na sobie. Uspiała moją czujność. Siedzieliśmy obok siebie na sofie. Podałem jej firkę z pojarą Czesława.

“W weekend nie będziemy mogli się spotkać”, wycodziła naraz przepraszająco, “Błazej wraca z Otwocka. Z roboty. Muszę pobyć z mężem, rozumiesz. Co za nudy!”

IV

Uwertura

Nasza relacja z Hanką była jeszcze jakiś czas niezobowiązująca. Poznała mnie z siostrą swojego chłopaka, która mi się spodobała. Skoro Hanka miała kogoś, to dlaczego ja nie? Pojechałem na imprezę – koncert w plenerze czy coś. Była tam ta siostra – Jola, i Hanka. Wkurzyłem się na Hankę, bo nie odpowiadała na moje SMS-y i nie wiedziałem, co się z nią dzieje. A chciałem wiedzieć. To dlatego ostentacyjnie podrywałem Jolę. Zresztą naprawdę mnie zaciekawiła. Natychmiast rozpoznała, kim jestem. Podobno wiele słyszała o mnie wcześniej. Dobrze znała mojego brata, to stąd. Powtarzała to w kółko:

“Brat Stonogi, brat Stonogi.”

Nic to nie znaczyło, ale w jej ustach brzmiało jak fascynacja. Kupiłem to jawne pochlebstwo. Dziewczyna była ubrana tak, jak wtedy lubiłem. Szykownie, bez przesady, stonowana – tak sobie. Poszliśmy się przejść we dwójkę. Zostawiłem Hankę, wkurwiony, że mnie olała. I tak, przez tego SMS-a, się potoczyło. Mnie coraz bardziej kręciła Jola, proporcjonalnie do spadku zainteresowania Hanką. Gdy wracaliśmy, okazało się, że wiadomość była, lecz ja miałem zapchaną skrzynkę. “Nie mogę teraz odpowiadać, bo on tu jest” – brzmiał przekaz. On tu jest? No i co z tego? Czy ona minie bierze za jakiegoś kochanka? Co to za styl? Ja tego nie znam i nie przepadam. Głośno przeczytałem wiadomość, ale w tonie żartu. Siostra się oburzyła, że takie rzeczy dziewczyna brata do obcego mężczyzny posyła – też w tonie żartu się obruszyła, powiedzmy. Nie wypadają jej inaczej.

Hanka przyjeżdżała do mnie odtąd regularnie. Raz siedzieliśmy przy stole. Oboje po tej samej stronie. Poleciłem jej zrelacjonować swoje dotychczasowe życie uczuciowe. Nadzwyczaj chętnie się za to zabrała. Nie było tego wiele. Jakiś tam kolega, w którym się kochała, i nawet się spotykali, dopóki z zagranicy nie wróciła jego dziewczyna. Gdzieś tam była w delegacji. I tak ta wielka miłość się nagle skończyła. Potem, podobno, nikogo już nie kochała. Był jeszcze, tuż przed Błażem, jakiś starszy pan. Pracował w reklamie. Zbierał kieszonkowe zegarki. Miał być, jej zdaniem, niezły w łóżku – to z tego względu się z nim spotykała. Z czasem jednak zaczęła odczuwać do siebie wstręt, wyznała.

“No, to było obleśne,” skwitowała.

Uśmiechała się przy tym niewinnie i patrzyła we mnie z ufnością i otwartością. Byłem i czułem się wtedy starszy od niej. Tak pytałem jak miłośnik podglądanej pornografii. Bez żadnych szczególnych planów erotycznych względem niej.

Nazajutrz Jola z Błażem mieli wyjechać na Mazury. Hanka się zbuntowała, że nie jedzie. Została ze mną. Nic mu nie dało, że rzucał w dziewczyny żelazkiem. Była nieugięta. Pomogła mi przewieźć swoim starym, fajnym, białym saabem coupé urządzenia do remontu wnętrza domu, który zajmowałem. Porsche należało do mamy. Był to dom, w którym

kiedyś mieszkaliśmy z rodzicami i bratem. Obecnie stał pusty. Z wyjątkiem jednego lokatora – mnie właśnie. O siódmej rano przybyła do mnie punktualnie. Załadowaliśmy sprzęt i szybko załatwiliśmy sprawę. Kiedy rodzeństwo wróciło wieczorem, całą czwórką spotkaliśmy się u mnie. Piliśmy alkohol. Poleciłem Jolce czytać poezję Eliota. Zafascynowało mnie takie połączenie jej domniemanej naiwnej dziewczęcości z dojrzałą, grobową, prostą maestrią stylu genialnego poety. Chichrała się bezustannie. Jaka urocza, nakręcałem się. Poszliśmy piętro niżej zobaczyć, jak ładnie wycyklinowałem podłogę. Byłoby niefortunne chyba wspominać przy Błażeju, że sprzęt przywiozła mi Hanka. Kiedy wychodzili, odstawiłem komedię typowego pana domu. No wiecie, jak się żegna gości, zwłaszcza w rodzinie, po imprezie.

“Jedźcie tylko ostrożnie, ale uważajcie na siebie. Tylko nie zapomnijcie mnie znowu odwiedzić.”

Hanka zrywała boki. Błażej nic nie kumał, o co chodzi, i zamulony przytakiwał z głupim uśmiechem na twarzy. Żeby nie wyjść na totalnego downa. Jola nie wiadomo, co kumała, a czego nie. Grała słodką, niedoświadczoną idiotkę. W poniedziałek, po ukończonej robocie, miałem oddać maszynę. Hanka znowu zerwała się o świcie i była u mnie o siódmej. Tym razem oznajmiła zaraz na wstępie, że zerwała z Błażejem. Ucieszyłem się, ale udałem, że mi to raczej nie na rękę, bo z kobietami wiązać się nie lubię. Oddaliśmy maszynę do wypożyczalni i wróciliśmy do mnie. Hanka walnęła się na kanapę. Była śpiąca. Ja puszczałem stare kasety magnetofonowe z jakimiś przebojami z lat 80. Nareszcie położyłem się przy niej. Jej ciało obok mnie. Jej ciało było seksowne. Pełne. Pachnące perfumami. Wypieszczone. Leżała w półśnie. Zwarłem się w sobie i spałem. Poczułem napływ krwi w dolnych partiach korpusu. Coś mi tam twardniało. Leżałem na brzuchu i dociskałem członka do materaca. “Uspokój się”. Gdybym ją teraz objął, prawdopodobnie by się ucieszyła. Dlaczego nie chciałem tego zrobić? Z przyzwyczajenia. Unikałem seksu. Uważałem, że takie przygodne relacje nie mają sensu. Szukałem czegoś głębszego. Nie chciałem jej też pokazać, że jestem miękki i od razu się do niej zabieram. Ona cała parowała od gorąca. Oddychała ciężko. Rozpływała się po łóżku.

“Podrap mnie po pleckach,” zaordynowała.

“Sama się podrap,” udałem gbura.

Nie chciałem uchodzić za takiego, co się od razu zabiera do sprawy, jak tylko nadarza się okazja. Poszedłbym w ślady Błażeja, który wziął ją jak swoją na Brunatnej. Zakrawałoby to na żart. Byłem przekonany, że będzie potrafiła to docenić. Wstaliśmy wreszcie i udaliśmy się do kuchni. Zrobiliśmy sobie śniadanie. Potem ona poprosiła mnie, żebym wymyślił jej jakieś teksty do opisu jej meblo-ubrań na stronie internetowej. Również żebym zastanowił się, o czym mogłaby być jej praca magisterska. Z chęcią przystałem. Odpowiadała mi rola wtajemniczonego. Włączyła dyktafon w komórce i zaczęła nagrywać. Podparłem filozoficzną tezę jej praktyczne prace designerskie. Tak mi się przynajmniej wydawało. Podziękowała serdecznie, po czym pojechała do siebie. Wymieniliśmy się adresami internetowymi. Jeszcze tego samego dnia nadesłała mi stenogram mojego monologu. To był pierwszy mail, jakiego od niej dostałem. Jak słodko, pomyślałem. Prawie natychmiast zaskoczyła mnie, posyłając mi komplet projektów okładek do mojej książki, którą właśnie przygotowywa-

łem do wydania w rodzinnym przedsiębiorstwie. Zachwyciły mnie. Były piękne. Nasza korespondencja obejmowała potem kilka tysięcy listów i liścików. W tej chwili Hanka nie odpowiada na żadne wiadomości ode mnie.

V

Wieczór panieński

Jola miała opuścić kraj i udać się na kontynuację studiów artystycznych w Rotterdamie. Chciałem się z nią spotkać przed wyjazdem. Czułem do niej miętę. Przysłała mi SMS-a, że jak chcę, to proszę, możemy się umówić. No to zaproponowałem ten sam wieczór. Ale i Hanka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że niebawem się pojawi. Stałem wobec dylematu. Nie chciałem łączyć tych sytuacji. Wstyd powiedzieć, miałem nadzieję na intymne spotkanie z Jolą. Kiedy Hanka już dotarła do mnie, sama zatelefonowała do Joli i poleciła jej do nas przyjechać. Jolanta przywozła butelkę wina. Ja wyjąłem jakieś flaszki, gitarę, dziewczyny robiły chórki. Potem zeszliśmy na fajkę do ogródka. Hanka wynalazła gdzieś mój dowód osobisty i pokazała Jolce.

“To ty masz trzydzieści osiem lat?” tamta spytała zdziwiona, ale i rozbawiona.

“Nie martw się,” wtrąciła Hanka, “Jolka też tylko wygląda tak młodo, naprawdę ma trzy dychy.”

Byłem w szoku. Dałbym jej dwadzieścia parę. Tyle samo co Hance, albo nawet jeszcze mniej. Hanka kończyła jesienią dwadzieścia pięć. Wróciliśmy na górę. Urządziliśmy sesję fotograficzną z moją maszyną do pisania oldtimer Ernesta Hemingwaya. Jolka przestawała pomału kontaktować. Słaniała się i plotła bzdury. Ja, oczywiście, chciałem wtedy ją widzieć w jak najlepszych barwach. Przymykałem więc na to oko. Skotłowaliśmy się nieco. Leżeliśmy we trójkę na podłodze, a woda lała się po parkiecie. Ponieważ zaczynało się bredzenie, zdecydowaliśmy, że party dobiegło do mety. Dziewczyny się pozbierały.

“No, idziemy. Ale jest późno! Nie możemy chyba teraz jechać w tym stanie.”

“Oczywiście, to zostańcie tu,” zaproponowałem. “A dasz nam pidżamki?”

“Jasne, i sam założę.”

Ułożyłem się pomiędzy nimi. Jola od okna, Hanka z prawej. Objąłem obie dziewczyny. Super numer, pomyślałem. Próbowałem dobierać się do Joli. Miała jednak spory tyłek. Nic z tego nie wychodziło. Zasnęła natychmiast. Z Hanką zaczęliśmy się miziać stopami. Dotykać, przesuwac, smarować. Moja ręka, nie wiem jak i kiedy, zawędrowała w jej majteczki. Powoli, powoli, natrafiła na wzgórek łonowy. Była wygolona. Delikatnie zagłębiłem paluszek do środka. Jednocześnie znalazłem ustami jej język. Usta Hanki były twarde, mięsiste. Trochę od niej zalatywało fajami, co ja nie palę, to czuję. Jakoś tak się na razie dopiero rozpoznawaliśmy. Pierwsze koty za płoty. Znalazłem jej pierś. Piersi miała bardzo zgrabne, nadzwyczaj wymiarowe. Całowaliśmy się mechanicznie. Jak dwoje nieznajomych na zabawie, którzy nic do siebie nie czują. Rutynowo. Jak w liceum. Potem zasnęłem. Rano zrobiliśmy na śniadanie jajka na miękko. Atmosfera była trochę skonsternowana. Do rozładowania. Dienne światło raziło źrenice. Zdawkowe pożegnanie na schodach, gdzie Han-

na się kolebała niezgrabnie na swoich szpilkach. Wyglądała żałośnie z tym powidokiem tapety na twarzy. Poczułem do niej współczucie.

Dom rodzinny

Domostwo Hanki przedstawiałoby się na pewno dla wielu imponująco. Był to nowoczesny budynek. Mama Hanki była modystką. Miała dość wysokie notowania w środowisku. Wygrała właśnie ministerialny przetarg na ubranie korpusu dyplomatycznego, więc mogła sobie pozwolić na wywalenie konkretnej chaty. Bryła była upstrzona milionem dziwacznych szczegółów. Jakieś gzymsy, spady, zaokrąglenia, wykusze. Falbanki, dzbanki, malowanki łowickie. Jakieś okna spiralne, wnęki, coś nieprawdopodobnego. Wewnątrz było jeszcze lepiej. Każdy fragment parkietu był z innego rodzaju drewna, ułożony w inny, wymyślny wzór. Przerażało mnie to lokum. W pokoju telewizyjnym jedną ścianę zajmował plazmatyczny telewizor, a drugą awangardowe dzieło abstrakcyjne nieznanego mistrza, który okazał się asystentem z akademii Hanki. Tu i ówdzie, gdzieniegdzie ze ścian wystawały kapitele doryckich kolumn. Płaskorzeźby owoców. Mozaikowe piece kaflowe, przeszklone kominki. Meble art déco pochodziły z kolekcji dziadka Hanki, który był przedwojennym przemysłowcem. Dorobił się na produkcji środków higieny. To on wymyślił recepturę, która przetrwała do dzisiaj – słynnego mydła Złoty Nosorożec w Kąpieli. Hanka stanowiła w ogóle interesujący konglomerat genetyczny. Pod tym względem była przypadkiem egzemplarycznym dla powojennej historii państwa polskiego. O ile ze strony ojca należała właśnie do wspomnianej kasty drobnych przemysłowców-kolekcjonerów – innymi słowy reprezentowała międzywojenny, sanacyjny establishment postfeudalnej Polski – o tyle ze strony matki należała do komunistycznej uprzywilejowanej nadstruktury nomenklatury. Jej drugi dziadek był bowiem rewolucjonistą i bojownikiem. Jak to bywa w tym fachu, kiedy już osiągnął zwycięstwo, został aparaczykiem. W Hance łączyła się dawna Polska z nową. Po 89. roku arystokracja, nie do końca wybita przez radzieckich braci, połączyła się z ukształtowaną po wojnie klasą panującą – dyrektorami państwowych dotąd fabryk, pierwszymi sekretarzami partii. Powstały w taki sposób genotypiczny mikś miał rządzić Polską poupadkowo-murową. Hanka nie oddawała się żadnej refleksji na ten temat. Spijała tylko śmietankę. Kiedy ją odwiedzałeś niezapowiedziany, jej mama mówiła:

“Nie będę budziła mojego dziecka.”

Które, nie trzeba dodawać, odsypiało właśnie całonocną libację. Była do bólu rozpieszczona. Jakakolwiek próba zewnętrznej ingerencji w ten układ w celu oświecenia Hanki napotykał zaporę jej systemu immunologicznego, co przejawiało się atakami hysterii. Co chwila potykałeś się tam o czekoladki, bombonierki, porcelanowe filiżanki, z czego wiele przedmiotów było w całkiem dobrym, skromnym, konstruktywistycznym guście. Na korytarzu przykuła na chwilę moją uwagę sporych rozmiarów mapa. Zdawało mi się zrazu, że przedstawia plan miasta Łodzi. Jaki oryginalny pomysł, pomyślałem, by w tym domu, tak skonwencjonalizowanym w guście statecznej, nieco tylko ekstrawaganckiej elegancji, umieścić tak prozaiczny obiekt. Spodobało mi się to od razu. Dopiero z bliska odkryłem, że to mapa przedwojennej Rzeczypospolitej – od morza do morza. A więc gusta patriotyczne, pomyślałem, i zdałem mamie szczegółową relację z prastarych koligacji mojej rodziny, które wymyślałem na poczekaniu przy różnych, wymagających tego okazjach, dodając za

każdym razem jakiś nowy, atrakcyjny szczegół. W ogrodzie brylował blat marmurowego stołu. Matka debatowała tam z sąsiadką lub pielęgniarką. Przywitała mnie z wylewną, staropolską serdecznością. Od razu odwzajemniłem to ciepłe uczucie.

“Wydaje się pan młodszy od swojego brata,” powiedziała.

A więc i tutaj zawędrował Czesław, pomyślałem. Była w kwiecie wieku, okrągła. Na jej okrągłej twarzy rysowały się te linie, o których pisze Proust, mając na myśli portrety Rembrandta. Poszliśmy do pokoju Hanki. Zauroczyło mnie to miejsce natychmiast, jako cierpiącego na przewlekły kompleks Nabokova. Nie przypominało reszty domu. Tysiące dziewczęcych fatałaszków porzrzucanych po podłodze, szafkach, regałach. Jakies jej rysunki, bibeloty. Szminki, pudrka, lusterka, malowanki, wycinanki. Mnóstwo porzrzucanych książek, lalek, misiów. Materac do spania, komputer. Spinki, naszyjniki, koraliki, paciorki. Hanka usiadła na mnie okrakiem.

“Czesław...” zamruczała, i zaraz ugryzła się w język. “Chciałam powiedzieć: Romek.”

VI

Ekstaza

Teraz już jechaliśmy z Hanką na znanym wózku. Zero ściemy. Karty zostały rozdane. Stopniowo dochodziliśmy do wprawy. Najpierw była kanapa z rafii na wsi u brata. Błażej zatelefonował do Hanki. Chciał gadać, przeproszać. Przestraszyłem się, żeby mu coś z tego przypadkiem nie wyszło. Poszła debatować do swojego samochodu. Wróciła po paru minutach. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, jak mogą wyglądać rozstaniowe rozmowy Hanki. Jak potrafi być asertywna i bezwzględna. Może z nim było inaczej niż później ze mną. Nie mam pojęcia. Kiedy wróciła, była cokolwiek zmachana. Po dziewięciu miesiącach powie, że to mną się okrutnie zmęczyła.

“To był straszny debil. Ciągle tylko on i jego rodzina,” zwierzyła się cicho.

Zacząłem masować jej plecy. Objęła mnie. Tym razem jej usta nie wydały mi się obce i nienaturalne. Były miękkie. Ciepłe. Miłe. Podobnie jej ciało. Ugniatałem i masowałem je. Sięgnąłem dłonią pod bluzkę. Natrafiłem na soft-touch w dotyku skórę. Obfite, jędrne pośladki. Kształtne, piękne piersi. Słowem, kawał apetycznego ciała. Usiadła na mnie okrakiem. Chuj stanął mi i ocierał się o jej cipkę, która także była gotowa. Wiliśmy się tak przez parę minut. Wreszcie nie wytrzymaliśmy. Zdjąłem jej bluzkę. Wyglądała naprawdę super. Ona, nie bluzka. Potem stopniowo zacząłem zsuwać czarne pończochy. Złapałem je razem z majtami. Tak by zeszyły w komplecie.

“Jesteś doktorantem, nauczycielem akademickim,” powiedziała, “a ja studentką. Nie boisz się, że cię wywalą z uczelni? U nas, na ASP, pewnie by cię nie wywalili.”

Poczułem, jak trafiam w jej bobra.

“O boże!” zakrzyknęło we mnie wszystko we wnętrzu, “ja tego nie wytrzymam!”

Dawno nie posuwałem żadnej panny. Właściwie odkąd rozstałem się z Mileną. Jeszcze sekunda, a eksploduję w nią całym, nagromadzonym przez lata zapasem spermy. Będzie, kurwa, wstyd na całego. Opanowałem się i wyjąłem. Spiałem się cały w sobie. Wciągnąłem do krzyża. I powoli zacząłem się w niej poruszać. Od tyłu. Było ciemno w dużym pokoju, gdzie znajdowaliśmy się na stylowej sofie z rafii nieprzeznaczonej raczej do takich akcji. Posuwałem ją posuwicie. Ona jęczała coraz bardziej. Była mokra w środku, że skapywało i spływało z niej na wszystkie strony. “O kurwa!” pomyślałem, “co za jazda!” Trzymałem ją dłońmi z obu stron za dupę. Ładowałem to szybciej, to wolniej. Zmieniałem rytmy.

“O, tak!” jęczała. “Weź mnie jeszcze od tyłu. O, jak mi dobrze.”

Wreszcie wyjąłem.

“Nie kończysz?” spytała zdziwiona.

“Wciągam do krzyża,” odparłem, “jestem joginem tantrycznym.”

Natura Błażeja

Jola napisała, że jedzie. Spotkaliśmy się u mnie. Przyniosła ciasteczka z jabłkami. Mówiliśmy o filozofii. Potrafiła mnie na to poderwać. Kazała sobie tłumaczyć, czym jest poziom meta. Nawijałem więc o Heideggerze, Tarskim, ontologii, ontycie. Podobało mi się, że ją to tak zdaje się zajmować. Sprawny umysł we względnie miłym ciele – oto optimum. Skrytykowaliśmy debilizm jej brata – Błażeja. Kiedy jednak odprowadziłem ją do domu, Błażej stał i czekał przed bramą. Był wściekły. Zapomniał klucza. Obcisły czarny golf jeszcze bardziej go, zdaje się, cisnął niż zwykle. Zarzucił grzywką wkurwiony. W rękach dzierżył dwie reklamówki z warzywami i owocami.

“Jak Błażej?” spytałem.

“Źle,” odparł.

“Weź się w garść,” poradziłem mu. “Ja nie jestem takim dobrym pisarzem jak ty,” odparował mi i trzaskając drzwiami, zniknął za bramą.

“To był okropny gość,” opowiadała o swoim byłym chłopaku Hanka. “Kiedy wychodziliśmy gdzieś razem, stale chował się za mną, pytając, czy widziałam, jak ten czy tamten się na niego patrzy. Przy nim nie warto się było nawet rozbierać. Włożyć, wyjąć – i już wszystko trzeba było wkładać na siebie z powrotem. Dopiero z tobą dowiedziałam się, że można to robić tak długo.”

“Zostawiałaś go tylko dlatego, że nie sprawdzał się w łóżku?” udałem zdziwienie. “A uczucia? Mówiłaś, że wyznawaliście sobie miłość.”

“Tylko odpowiedziałam mu, jak mnie zapytał, czy go kocham. Niejako automatycznie. To był kompletny pojeb. A te jego biesiady, grillowanie na działce z setką przyjaciół. Chwalił się przed nimi, że jestem świetną gosposią. Najbardziej lubił, jak siedziałam w kuchni i przygotowywałam drinki dla gości.”

“Żyliście ze sobą prawie dwa lata. Jak mogłaś tyle wytrzymać?”

“Spotykaliśmy się od święta. W weekendy. Nie zorientowałam się od razu, że jest aż takim kretynem.”

“Jak dla mnie, to wystarczyło spojrzeć. Ale skoro spędziliście ze sobą tyle czasu, to może da się to jeszcze uratować? Przestań, bądź poważna,” przywołałem ją do porządku, kiedy łapała mnie za chuja.

“Nie, nie, jestem świeżo po poprzednim związku. Mam uraz. Nie czuję się jeszcze na siłach zbliżyć się z innym chłopcem.” Wybuchła śmiechem i rzuciła się na mnie.

VII

Szczęście domowego siedliska

Zaczeliliśmy wieść romantyczne życie dwojga zakochanych. Siadywaliśmy u mnie w kuchni przy stole, ustawionym na środku pomieszczenia, i patrzyliśmy sobie w oczy przez blat. Jej oczy uśmiechały się do mnie, a ja spijałem ten czar w zachwyceniu. Gładkość jej cery. Jej poświęcenie, dla którego zrezygnowała dla mnie ze swoich dawnych nawyków. Przestała włóczyć się po knajpach, jarać fajki, których smrodu nie znosiłem. Raz nawet, kiedy w napadzie zazdrości zarzuciłem jej, że wysyła na Facebooku zaproszenia do znajomości muzykom boysbandów dla podrastających dziewcząt, zlikwidowała natychmiast swoje konto. Chciała mi udowodnić, że jest wyłącznie moja. Co prawda, jak się w konsekwencji okazało, trochę zmitologizowała, bo tylko zawiesiła na jakiś czas, a nie skasowała kompletnie. W każdym razie byłem pod wrażeniem. Całe dni spędzaliśmy razem. Spotykaliśmy się tylko ze sobą. Smażyliśmy pizze. Gotowaliśmy spaghetti. Ona często przywoziła ze sobą z domu różne wiktuały. Sąsiad jej rodziny, zapalony smakosz, wędził w spiżarni szynki, polędwice, kielbasy. Śmiała się, że nie wie, czym on to właściwie pochłania, bo brak mu całego garnituru uzębienia. Przywoziła ciastka i bezy od ciotek. Następnie waliliśmy się do łóżka i oglądaliśmy nieme filmy, westerny, nową falę. Potem kochaliśmy się. Ona pachniała kremem Nivea, a ja kupowałem tę mieszcząską słodycz. Czułem jej pełne kształty obok siebie. Dotykałem jej różowości. Patrzyłem głęboko w oczy. Dokonywałem redukcji fenomenologicznej. Brałem świat w nawias – ja i ona byliśmy tym światem. Obserwowałem, jak powoli znika indywidualna świadomość każdego z nas. Wychodziłem z fizycznego siebie i z pozycji transcendentalnego ego przypatrywałem się w zadziwieniu tej parze. Zachwycały mnie niuanse topologicznych przekształceń sfery biologicznej w metafizyczną i na odwrót. Zaczynałem wierzyć w miłość. A kiedy nadchodził ten moment, kiedy czułem, że ma już dosyć, że przepełniła ją błoga radość, wyjmowałem i kończyłem na jej brzuchu. Potem kładłem się na nią. Rozmazywaliśmy się w mokrej śliskości. Ślizgaliśmy się po sobie, mocno się do siebie przytulając. Ona obejmowała mnie ramionami. Przyciskała mnie do siebie. Nurkowałem nosem w jej włosach dziewczyny-Wikinga. A potem szliśmy do łazienki. Wchodziliśmy do przykrótkiej wanny. Kontemplowaliśmy ciepło wody, którą dolewaliśmy co chwila, kiedy stygła. O swoich dawnych przyjaciółach – Stonodze, Szkopie i innych tak zwanych artystach – mówiła “łódzkie bagienko”. Spytałem, czy słyszała, że mój brat ma podobno dziecko z moją byłą dziewczyną Mileną. To tajemnica poliszynela, najpilniej strzeżona przez Szkopa.

“Nie, nie,” pośpiesznie i zdecydowanie zaprzeczyła, “ta informacja okazała się jednak fałszywa.”

Chuj w operze

Poszliśmy razem do filharmonii. Grano operę Vivaldiego. W przerwie podszedł do nas Czesław, zapalony meloman. Pogadaliśmy trochę. Po skończonym spektaklu Hanka pożegnała się ze mną i Czesławem, życząc nam miłego wieczoru, i pojechała sobie. Kiedy wróciłem do domu, czekała na mnie przed furtką.

“Jebie cię?” spytałem konkretnie.

“Nie wiem...” wyjaśniała rozbijając. “Pomyślałam, że może nie chcesz, żeby twój brat i inni wiedzieli, że masz coś ze mną wspólnego. Może uważasz mnie za idiotkę.”

“A może to ty się mnie wstydzisz? I boisz, że cię nie wezmą już nigdy na żagle?”

“Nie chcę wracać na żadne łódki! Nie interesują mnie już oni. Tylko traciłam z nimi czas.”

“Przyznasz, że długo się namyślałaś.”

“Skąd mogłam wiedzieć od razu, że to taki pojeb, ten mój chłopak? Zdradzał mnie. Całował się z inną dziewczyną. Kłóciliśmy się ciągle. Przyszło mu do łba, że jak będziemy mieli dziecko, to się poukłada. Boże, ja w ciąży z nim! To byłby dopiero koszmar!”

“Faktycznie,” przyznałem. “To jak wy to właściwie robiliście?” zacząłem dociekać. Weszliśmy w międzyczasie do mnie na górę.

“Bardzo rzadko. Jak już, to klasycznie. Po bożemu.”

“Tylko?”

“Błazej brał mnie jeszcze od tyłu.”

“Tak jak ja?”

“Nie, kładłam się bokiem i on we mnie wchodził. Ale to trwało parę sekund.”

“No tak, ale byliście przecież na wakacjach. Tam nie było pola do popisu, w namiocie?”

“Weź przestań, obok spała jego siostra. Co by sobie pomyślała! To było bardzo kochające się rodzeństwo.”

“No, a z innymi? On był dla ciebie przecież stary dziad, ten Błazej. Miałaś jakiegoś chłopca w swoim wieku?” próbowałem się czegoś o niej dowiedzieć.

“Za pierwszym razem zrobiłam to z kolegą ze studiów. Wsadził mi wtedy w pupalę. W prezerwatywie. Ale tylko dwa razy posunął i wyjął.”

“No co ty! Żartujesz! Miałaś stosunek analny?”

“I to od razu za pierwszym razem!”

“Nieźle,” pochwaliłem. “I to już wszyscy?”

“Kiedy pracowałam przez rok w biurze informacji turystycznej – mama załatwiła mi tę robotę, kiedy zawałam rok w szkole – przyszedł do nas klient, jeden Włoch.”

“Stary dziad...”

“Dojrzały. Ale to była jednorazowa okazja.”

Właśnie skończył jej się okres. Można było przestać uważać. Po godzinie ostrego bzykania, właśnie wtedy, kiedy się z nią droczyłem, żeby też dała mi spróbować wsadzić w pupę, wryło ją.

“Co to? Krew!” zawołała przerażona. Była cała umazana osoczem. “Przecież okres dopiero co mi się skończył! Rozwaliłeś mnie! Rozwaliłeś coś we mnie tym swoim wielkim chujem!”

Poszła do łazienki się umyć. Zastanawiała się nawet, czy nie jechać na pogotowie, ale nic z niej więcej nie ciekło, więc położyliśmy się spać. Rano wszystko było w porządku. Bzyknęliśmy się raz i poszliśmy pod prysznic. Przypadkiem zerknąłem na członka. Tuż pod żołądkiem zerwane miałem całe ścięgno.

“Ja jebę,” przeraziłem się nie na żarty, “to ty urwałaś mi kutasa!”

Niezdrowo było się tak kisić tylko we własnym sosie. Mieliśmy więc pójść do tej samej galerii, gdzie się poznaliśmy dwa lata temu, na Brunatną. Wymówiła się, że woli zająć się samokształceniem.

“Mam duże zaległości w kulturze,” powiedziała. “Niedługo robię dyplom, a do tej pory nic, tylko balowałam. Chcę raz na zawsze skończyć z takim życiem. To niewłaściwe miejsce dla młodej panienki. Kawalerowie bez orderów.”

Nie poszliśmy zatem na wystawę. Nazajutrz zjrzałem na moją stronę Facebooka. Zobaczyłem Hankę na wystawie na Brunatnej, jak ciągnie samogon z rurki, przewala się na czyichś kolanach, pozując do zdjęcia. Słowem, kształci się. Notabene, tuż przy niej pręży się w obiektyw do zdjęcia Szkop. Spytałem ją, co to niby ma znaczyć. Przepraszała, tłumacząc się gęsto, że nigdy to więcej się nie powtórzy. Wieszkała mi marcepany na furtce. Przeprosinowe laurki. Kiedy pojechałem do stolicy na konferencję naukową, zajęła się troskliwie moim kotem. Zawiozła go do weterynarza i zrobiła mu odrobaczenie. Wymiękłem.

Minęła gwiazdka. Hanka przystroiła mi kuchnię małą choinką. Zarzuciła mnie prezentami. Potem mnie wzięła. Siedzieliśmy przy stole, kiedy przyjechał Czesław. Zobaczył nas. Zaczął chodzić po całym domu, głośno tupiąc nogami. Hanka wdzięczyła się do niego i robiła maślane oczy. W końcu skierował do niej pytanie:

“Masz fajkę?”

“W samochodzie,” odpowiedziała i posłusznie szykowała się, by pobiec do samochodu po paczkę.

“Zaraz, kurwa, zaraz,” wtrąciłem się. “Nigdzie nie pójdziesz. Co ty, jesteś na statku, a on jest tu kapitan? Ochujałaś chyba! Po moim trupie.”

“Przecież wiesz,” wyjaśniła spokojnie, kiedy poszedł, “jeździliśmy całą paczką na wspólne wakacje. Rozrabiałam tam z nimi, a teraz jestem tutaj, z tobą. Grzeczna i spokojna. Trochę mnie to peszy.”

“A po co się wdzięczysz do niego?”

“Ja dla wszystkich jestem taka miła.” I uśmiechnęła się rozbrajająco.

“Spierdalaj!” nie dałem za wygraną. “Mów, dlaczego nie chciałaś pokazać się ze mną na Brunatnej.”

“Tam miał być mój były chłopak,” zaczęła się gęsto tłumaczyć, “powiedział mi Henryk Szkop. Nie jestem jednak takim potworem, by przychodzić tam z tobą i ranić go. Sam spierdalaj!”

“Łżesz,” nalegałem, “ruchałaś się z Czesławem. Przyznaj się zaraz.”

“Jesteś za mądry, żeby cię nabrać. Nie ruchałam się, ale całowałam. Spodobał mi się już wcześniej.”

“To znaczy, że to ty zdradzałaś swojego chłopaka, a nie on ciebie. I że wcale nie miałaś prawa go zostawiać. Tylko ci się po prostu odwiedziało.”

Wziąłem też zaraz jedno z nagich zdjęć Hanny, które jej niedawno zrobiłem. Wrzuciłem je na Facebooka, po czym oznaczyłem na nim Hankę, Błażeja i Cześka. Poczułem ulgę.

VIII

Szkop

Na jednej z tych facebookowych fot, z których dowiedziałem się, że Hanka wcale nie śleczła nad podręcznikiem, ale nad aparaturą do destylacji samogonu, którą artyści z łódzkiej bohemy zmajstrowali “na potrzeby happeningu”, był także Henryk Szkop. Stał obok Hanki. Dumny i ukontentowany, że udało mu się reaktywować Hankę wśród popleczników swojej korzenioplastyki. Kiedyś, na samym początku kariery, Szkop pokazał, że potrafi malować. Trafiały mu się całkiem zgrabne pejzażyki. Ale ta jego sztuczna szczeka, którą pokazał ostatnio, była tylko rzadkimi popłuczynami po Duchampie, z czego on, nie mając nigdy w rękę żadnej książki dłużej niż pięć minut, nie zdawał sobie nawet sprawy.

Szkopa poznałem przez mojego brata. Był wtedy świeżo przyjętym (z najwyższą notą), dobrze zapowiadającym się studentem ASP. Zaimponował mi od razu. Mimo młodego wieku malował i sprzedawał całkiem zgrabne pejzaże. Robił fajne, industrialne foty i odlotowe kolaże. Nosił się w stylu punka. Wydawał się przy tym niegłupi. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaczęliśmy chodzić na koncerty punkowe, na siłownię. Zaprosił mnie na zajęcia z grafiki, na które uczęszczał na ASP. Byliśmy razem w Berlinie. Zatrzymaliśmy się wtedy na skłocie u jego znajomych. Okazało się, co prawda, że tak naprawdę wcale go nie znali. Przyjęli nas jednak, bo byli otwarci i co mieli zrobić? Usiedliśmy przy stole, obalając z gwinta taniego winiasza. Szkop poszedł do łazienki. Nie było go dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. Zaczęliśmy się niepokoić. Po godzinie Szkop wyłonił się z łazienki. Miał na sobie gruby szlafrok frotté. Był wypachniony drogą wodą kolońską. Na stopach miał modne klapki. Popatrzyliśmy po sobie. Wtedy zacząłem podejrzewać, że coś z nim jest nie tak.

Szkop z czasem porzucił malarstwo figuratywne. Zaczął pokrywać blejtramy płynnym asfaltem lub czymś, co go przypominało. Zamieszkał w dwupokojowym lokalu po babce. Wyposażył je w zestaw mebli, pochodzący z demobilu przychodni lekarskich. Biurko, szafki, stoliki. Podobno to zdezynfekował, ale ja miałem problemy ze zbliżaniem się do tych mebli. W gablocie umieścił trupa czaszkę, którą ktoś mu wykopał z cmentarza. Zaczął mi posyłać perwersyjne filmiki wideo, na których stare baby z obwisłymi cycami były podłączone do przemysłowych dojarek dla krów. Albo takie: dziewczyna zdmuchująca facetowi świeczkę utkwioną w jego odbycie. Stawało się to niesmaczne. Szkop leczył się u psychiatry. Mówił, że odwaliło mu po ukończeniu studiów. Nie wiedział wtedy zupełnie, co z sobą zrobić. Zaczął chodzić na jogę i uspokoił się nieco. Któregoś dnia, kiedy studiowałem za granicą, napisał do mnie, że moja była dziewczyna ma dziecko z moim bratem. Zasugerował mi to w zasadzie. Kiedy go zapytałem, co powinienem zrobić, opowiedział mi historię o swoim ojcu, który rzucił swoją kochanką o ścianę. Ostatnim, znanym mi wielkim numerem Szkopa było wsadzenie sobie świeczki w dupę, sfilmowanie tego, i rozesłanie znajo-

mym. Między innymi Hance. Tego już było za wiele. Zanim jednak do tego doszło, Szkop zrobił coś, co na zawsze pogrzebało nasze stosunki. Któregoś dnia, kiedy wróciłem późno wieczorem do domu z instytutu, zastałem tam niespodziewanie Szkopa.

“Co ty tu robisz?” spytałem go.

“Będziemy mieszkać razem. Dostałem klucze od twojego brata.”

“A co mój brat ma do tego? On ma swój dom. Pod miastem. Dlaczego nie weźmie cię do siebie?”

“Posłuchaj, Romek, ten dom, formalnie prawnie, należy do twojego brata i ja muszę zaraz zabrać się i naprawić wannę. Nie mogę tak bez wody.”

Wiedziałem, że Szkop bywa u psychiatry, że łyka barbiturany, ale nie sądziłem, że aż tak mu odjechało.

“Dostaliśmy dwa domy od babki. Ten tu i ten na wsi. Jeden jest mój, drugi jego. Ale to nie twoja sprawa. Powiesz mi wreszcie, z kim ma dziecko moja była dziewczyna?”

“Nie mogę, twój brat jest moim kolegą.”

“Ale ty chcesz mieszkać ze mną, a nie z moim bratem. Dostrzegasz tę subtelną różnicę?”

Ruszyłem w jego stronę. Moje intencje można było wyczytać z twarzy i postawy. Szkop cofnął się do drzwi. Czapeczka mu się przekrzywiła na tysej głowie. Biegł już do furtki i tylko jego słynna czarna teczka powiewała za nim, unoszona oporem powietrza. Nie dość, że była mało wygodna, to jeszcze zupełnie nie aerodynamiczna. Od tej pory nie widywaliśmy się ze Szkopem. Przestał też wysyłać mi pornusy. Handlował sobie dalej porcelaną na Allegro i przestał mnie namawiać, abym wszedł z nim do interesu.

Henryk nie poczuwał się zobowiązany za to, że to przeze mnie poznał swoją dziewczynę, a przyjaciółkę Hanki – Martynę. Notabene Hankę poznał też przeze mnie. Tak się złożyło, że Hanka, będąc w posiadaniu białego coupé, stała się dla Szkopa wyjątkowo cennym materiałem na koleżankę. Nie sądzę, by z wielką chęcią pragnął ją wyruchać. Będąc bowiem z pochodzenia Żydem, miał wydatny orli nochal i krytykował podobną rzeźbę u innych – a Hanka miała taki właśnie, cudny, wspaniale sklepiony nos, który zachwycał mnie jak żaden. Szkop mówił mi często, że nie cierpi takich panien pokracznych. Sądzę zatem, że głównie chodziło mu o wygodę własnego tyłka. Któregoś dnia, gdy Hanka była już ze mną, zarzucił ją serią SMS-ów, domagając się natychmiastowego podwiezienia w jakieś miejsce, z oburzeniem traktując jej niesubordynację, że tak długo mu nie odpowiada. Hanka, zafascynowana mną, znudzona chwilowo perwersją, nie odpowiadała na te jego historie. Przyjmowała moje pouczenia, że ten skurwiel traktuje ją jak służącą. Ale on dzwonił dalej. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że Martyna była ze Szkopem, a Hanka stale wisiała na drutach z Martyną. Wreszcie rozsądną opcję zaproponowała sama Hanna. Spytała mnie, czy nie znam jakiegoś fajnego, przystojnego chłopca, co by podmienić Martynie ten trefny towar, ten horror, który truł jej życie. Uspokoilo mnie to nieco. Śmiała się do rozpuku ze złośliwych opowiadań o Szkopie, które tworzyłem na potrzeby chwili. Serce rosło.

IX

Odśnieżanie

Obudziliśmy się u mnie w słoneczny dzień. Za oknem gęste, grube hałdy śniegu odbijały światło gwiazdy porannej. Niezwykła, biała jasność rozlewała się w atmosferze. Dach ponad nami skrzypiał od zwałów śniegu. Budziliśmy się raz za razem i zasypialiśmy znowu. Była niedziela. Amalgamat jawy i snu nie wiedział, na którą przechylić się stronę. W oparach erotyki świadomość dojrzewała do porzucenia bezpiecznego kokonu Morfeusza. W tym stanie zawieszenia trwaliśmy, dopóki starczyło nam sił. Potem, spoceni, zwlekliśmy się do łazienki. Hanka śmiała się rozbrajająco, kiedy wsadzała sobie między nogi szlauch prysznic, z którego odkręciliśmy rączkę. Strumień ciepłej wody penetrował ją skrupulatnie. Miętko, ale zdecydowanie. Trwała tak przez moment w zachwyceniu i ekstazie. Słuchaliśmy metalu. Wolfchant¹, Megadeth, Iron Maiden. Następnie ubraliśmy się i poszliśmy odśnieżać dach. Hanka dziarsko machała łopatą. Zlizywała sopte purpurowym języczkiem. Rzucała się w śnieg i tarzała się w nim. Kilka metrów od naszego domu stał dziesięciopiętrowiec. Jakiś rachityczny dziad w czapce dżokejce wyjrzał przez balkon i zawołał:

“Rzucaj ten śnieg po swojej stronie, Żydzie pierdolony!”

Posypały się kiwi i pomarańcze. Polskie społeczeństwo wzbogaciło się zdecydowanie w ciągu ostatnich lat i nie ma co go za bardzo żałować.

Kiedy uporaliśmy się ze śniegiem, zrobiliśmy zakupy na rynku. Hanka kupiła łososa do pizzy. Do tego parę kilo jabłek do sokowirówki. Stamtąd pojechaliśmy jeszcze do biblioteki po materiały do studiów dla Hanki. Przechadzała się pomiędzy półkami i z uwagą wertowała woluminy. Z widocznym znawstwem przedmiotu rozczytywała się w katalogach. Wreszcie uznała, że jest gotowa. Zabrała kilka pozycji pod pachę. Zeszliśmy schodami w dół, gdzie Hanka swoją czarną miniówką przykuła spojrzenia ochrony, pozostając w ich pamięci na zawsze.

“Wiesz, ile ważyłam, kiedy przyjechałam do ciebie kilka miesięcy temu? Nie uwierzysz. 78 kilogramów. Powtarzałeś, pamiętam, że jesteś stratny, bo się zużyłam przez ten czas z Błażem. A wiesz, ile ważyłam, kiedy poznałam Błażeja? 68. A zgadnij, ile ważę teraz? 58.”

¹ <https://www.youtube.com/watch?v=V4bDtlmJbbA&feature=end-screen&NR=1>.

X

Filmówka

Z łódzką filmówką łączyły mnie silne związki. Studentem tej zacnej uczelni byłem przez dwa semestry. Zajmowała mnie jednak w tamtym czasie głównie ta część filmowego życia, która sprowadzała się do nocnych maratonów barowych. Nie starczało mi czasu i nie mogłem przebić się przez kaca, by wyuczyć się tekstów dramatów na pamięć. Z równie mało zdolnymi partnerkami wymyślałem skecze, by zaradzić własnemu lenistwu. I tak, na przykład, kiedy nie nauczyliśmy się dialogów aktu *Zemsty* Aleksandra Fredry, wymyśliliśmy, że będziemy ślać sobie nawzajem, na scenie, dialogi w formie listów, przez pokojówkę – naszą koleżankę. Czytaliśmy po prostu te kwestie z kartek. Dziekan Światosław Szczeciński nie kupił jednak tego gagu. Zemściło się to na mnie wylaniem ze studiów. Of course, gdybym tak jak moi inni mało zdolni koledzy i koleżanki miał ojców i matki dyrektorów teatrów, choreografki czy znanych rysowników, nie miałbym się czego obawiać i mógłbym bimbać sobie w najlepsze. W swym młodzieńczym zapale nie brałem jednak pod uwagę, że fortuna poskąpiła mi takiego szczęścia.

Jeden z ówczesnych wykładowców, trzymający się na uboczu zdroworozsądkowiec, porównał zresztą atmosferę tego miejsca do obozu koncentracyjnego. Miał chyba na myśli głównie tak zwaną fuksówkę. Podczas tej zabawy świeżo upieczeni, pierwszoroczni studenci poddawani byli psychicznym torturom, przypominającym wojskową falę. Po ciężkim dniu absurdałnych zajęć musieliśmy ustawiać się w rzędzie. Starsi koledzy przechadzali się przed nami jak esesmani. Niespodziewanie zwracali się do kogoś, piętnując jakąś jego cechę, którą słusznie odgadywali jako kompleks. Chodziło o to, aby zniszczyć ci osobowość. W rezultacie stawałeś się powolny mikrospołeczności i jej zasadom. Życie w PWSFTViT przypominało kuracje odwykowe z ciężkich dragów, opisywane w fantastycznonaukowych powieściach Dicka. Terapia zakładała, że aby pozbyć się nałogu, trzeba pozbyć się też całej indywidualnej osobowości pacjenta, której ten nałóg jest częścią. I tak zaszczyty przez grupę narkoman rozpadał się na części – znikał. Na to puste miejsce można było wymyślić coś nowego, zdrowego... swojego. Wykładowcom to odpowiadało. Pozorowali oburzenie. W rzeczywistości pasowało im, że stawaliśmy się odmóżdżeni i powolni rozkazom. Podsycaли sytuację zagrożenia. Już w pierwszych dniach dowiedzieliśmy się, że egzamin wstępny wcale się nie skończył. Że w każdej chwili ktoś z nas może wylecieć. Ba, nawet mają już zaplanowane pewne cięcia. W takich okolicznościach nieufność między nami musiała wzrastać. Postępowała rywalizacja i psychoza. Doszło do tego, że jedna z koleżanek “odkryła”, że wszyscy jesteśmy wampirami energetycznymi. Ktoś większym, ktoś inny mniejszym, ale zawsze. Każdy czeka tylko na to, jakby wyssać coś z drugiego. Naturalnie pod pozorami wylewnej serdeczności i przyjaźni – obowiązkowej formy towarzyskiej aktora

względem kolegów. Sam zacząłem nosić w kieszeniach główki czosnku, kiedy sam posrani bliżej zaprzyjaźniłem się z tą posraną panną.

Hanna miała rodzinne wtyki na uczelni. Jej ojciec kręcił się po niej nieformalnie. Przychodził pogadać, przyciąć jakąś sklejkę, pożyczyć kamerę. Jemu też się dostało. Chociaż był wzorowym, konserwatywnym patriotą, zaszufladkowali go jako komunistycznego szpiega. To było siedlisko prawicowej reakcji. Mieli bzika na tym punkcie. Mnie by zaszczyliła podobna etykieta, ale gość chyba się tym podłamał. Pisał potem książki, tłumaczył się. Niewiele to dało.

Hanka odszukała w budynkach niejakiego pana Filipczaka, który ułatwiał jej ojcu poruszanie się w przemyśle. Kręciła właśnie dyplomową animację. Filipczak za friko udostępnił jej salę, wraz z drogim sprzętem do produkcji, o których myślała. Odwiedziłem ją w czasie pracy. Znalazłem wskazaną pracownię. Usiadłem na krześle, a ona na mnie. Rozpięła mi spodnie. Miałem jeszcze uraz po urwanym wędzidle, ale niewiele ją to obchodziło i zaczęła mnie zaraz obracać. Posadziłem ją na maszynie do produkcji kreskówek. Potem się rozebraliśmy. Zapaliliśmy kolorowe reflektory i porobiliśmy sobie zdjęcia. Następnie ładnie posprzątałyśmy pomieszczenie, nie zostawiając po sobie śladu. Zamknęliśmy lokal i poszliśmy na film do szkolnego kina. Rano trzeba było zdać pracownię.

Filipczak był koleśkiem po sześćdziesiątce. Ciągłe opowiadał Hance o swoich przygodach z jakimiś koleżankami. Hanka zobowiązała się w rewanżu – za wypożyczenie miejsca do pracy – odrestaurować dla niego stare zdjęcie ojca jednej z jego przyjaciółek. Pomogłem jej w tym. Wyszło całkiem nieźle. Poszliśmy mu je oddać razem z kluczami. Hanka obcałowała faceta od góry do dołu. Potem przyjęła od niego w prezencie twardy dysk do komputera.

“O co chodzi, Hanka?” spytałem. “Jaki on ma interes w dawaniu ci tych wszystkich prezentów? Sala za friko na parę tygodni, z kosztownym sprzętem, aparatem za kilka tysięcy, teraz ten twardy dysk. Twój ojciec mu płacił.”

“A, bo ja mu polecę kogoś, kto mu zrobi stronę internetową.”

“Hanka, oddasz mu zaraz ten dysk albo ja z tobą więcej nie gadam.”

Po wielkim płaczu zwróciła upominek właścicielowi. Przynajmniej tak powiedziała. Nie będę jej w domu robił rewizji.

XI

Babcia

Babcia odchodziła powoli. Ale i tak prawie się nie zorientowałem, kiedy ostatecznie się rozviała. Gdy ostatni raz widzieliśmy z Hanką babcię względnie zdrową, wkurwiła się na mnie. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że ma raka. Dochodziła do siebie po złamaniu nogi. Zaproponowała nam zupę. Przyniosłem Hance miseczkę. Kiedy wzięła pierwszą łyżkę, okazało się, że dałem jej taką do sosów, jak widelec, którą nie można było nic nabrać. Takie żarty z babcią to była moja specjalność. Poruszała się po mieszkaniu z balkonikiem. Wstawiła kłuski na drugie danie. Chodziła ciągle sprawdzać, obijając się tym balkonikiem o boazerię, czy już się ugotowały. Zaproponowałem, że ja pójdę. Wkurzyła się wtedy. Ja się obraziłem i wyszliśmy z Hanką, nic nie jedząc.

Siedziałem u siebie i czytałem książkę o Godardzie, będącą niegdyś własnością ojca Hanki. Brzęknął telefon z SMS-em. Co tam ona znowu chce, pomyślałem z uśmiechem o mojej narzeczonej. To była jednak matka. Wysłała wiadomość, żebym lepiej przyjechał, bo z babcią jest źle. Wyszła ze szpitala i była już wtedy u siebie w domu, na Nowskiej. Wskoczyłem na rower. Po drodze odsuwałem od siebie myśl, że po raz ostatni przemierzam tę drogę, którą przyzwyczailem się pokonywać co niedziela. Wszedłem do mieszkania. Zobaczyłem z daleka, jak leży nieruchoma, z ustami rozchylonymi. Nie żyje, nie zdążyłem przyjechać i powstrzymać agonii mocą moich szamańskich zdolności, przestraszyłem się. Ale nie. Poruszyła ustami. Wszedłem do pokoju. Władek, jej młodszy brat, trzymał ją za rękę. Wlewał jej rumianek łyżeczką do ust. Napój rzeził w gardle. Oddychała z trudem. Chwyciłem babcię za rękę. Tylko poruszała oczami. Rozglądała się. Spoglądała na mnie. Trudno mi było znośić aromat nadchodzącej śmierci. Wtedy zadzwoniła Hanka. Odszedłem do kuchni. Hanka próbowała pomagać. Uruchomiła rodzinne koneksje znajomych ordynatorów, którzy jednak okazali się bezradni. Pytlowała, że nasz znajomy, Ostry, pracuje nad stroną internetową dla naszego wydawnictwa. Gdy wróciłem, babcia przestała się męczyć. Uspokoila się. Ucieszyłem się. Wtedy nagle jej głowa zaczęła maleć. Poruszała nią w panice. Nie widziała już niczego. Głowa jakby na moich oczach zmieniała kształt. Chwyciłem babcię za rękę. Chciałem powiedzieć, że ją kocham, ale pomyślałem, że to głupie. Przekazałem jej tę myśl telepatycznie. Matka stała obok i powiedziała, że babcia umiera. Skąd ona to wiedziała? I wtedy nagle oczy babci stały się szkliste. Widziałem takie oczy u jednego mojego kota, którego przejechał samochód. Naraz świadomość z nich odpłynęła. Matka powiedziała, że babcia umarła. Zamknęła jej oczy. Ale babcia je otworzyła. Ręka, którą trzymałem, drgnęła. Ostatni raz. I co, kurwa? To nie tak miało być. To powinno być jakoś ładniej, później, dostojniej. W tym powinna być tajemnica. Wzruszenie. Nieodwołalność. Ale moja babka nie była osobą nieodwołalną. Ona nie brała prawie w ogóle pod uwagę śmierci. Zaskoczyła

ją. Zdziwiła. I ja tak samo stałem zdziwiony. Zaskoczony. Nie mogłem uwierzyć. Zadzwoił dzwonek. W drzwiach stanęła Hanka. Zdezorientowana, co się dzieje. Matka nie poznała jej. Powiedziała – myśląc w pierwszej chwili, że to pielęgniarzka z kroplówką – że już za późno. Zapalono świecę. Zasłonięto lustro ścierką. Hanka przyniosła ze sobą mały śliczny kwiatek w doniczce. Myślała, że sprawi tym babci przyjemność. Ładnie wyglądał obok świeczki. Twarz babki uspokoiła się. Uśmiechała się. Poszliśmy z Hanką do kuchni. Pokazałem jej koziołek do robienia naleśników, jaki zrobiliśmy z dziadkiem ze świerka na działce, kiedy byłem mały. Hanka przytuliła się do mnie. Oparła mi głowę na ramieniu.

Moja babka, której agonię i śmierć obserwowałem, będąc przy niej, z taką obojętnością! O, gdybym, kiedy skończę moje dzieło, mógł za pokutę cierpieć przez długie godziny śmiertelne rany, w absolutnym opuszczeniu, póki bym nie skonał!

Marcel

Matka zamówiła firmę pogrzebową. Przyjechali dwaj rośli panowie. Na granatowych polarach mieli wygrawerowany emblemat: Skrzydlewska. Popatrzyli na szable, ryngrafy i skóry dzikich zwierząt wiszące nad łóżkiem na ścianie. Zapięli ekspres plastikowego worka i pojechali. Sometimes you eat the bear, sometimes the bear eats you.

XII

Święta rodzina

Szły święta wielkanocne. Bujaliśmy się z Hanką już kilka miesięcy. Czas mijał wesoło. Drukowałem okładkę i ilustracje do mojej książki, projektu Hanki. W jej pracach był urok dziewczęcej świeżości. Jak i w niej samej. Niekiedy. Hanka przyjeżdżała późno w nocy do firmy przygotowującej blachy offsetowe. Przywoziła racuszki. Kanapeczki. Sałatki. Na miejscu poprawiała projekt. Pierwsze arkusze wyszły spod Romayora. Hania znowu przyjechała do drukarni z plackami.

“Uf,” wykrakała “ostatnie szlify. Teraz wreszcie nie będziemy mieli więcej po co się spotykać!”

Umówiliśmy się niezobowiązująco na świąteczny bankiet. Miała rano przyjechać, byśmy pojechali na rynek po zakupy. Zamiast tego napisała maila, że ma urwanie głowy, bo robi świąteczne porządki.

“Jak to, kurwa?!” oburzyłem się. “Umawialiśmy się przecież.”

“Znajdę czas po południu. Teraz mam zajęcia. Mamunia chciała, żebym zrobiła porządki.”

“Mieliśmy zrobić na rynku zakupy. To nie jest Tesco czynne całą dobę. Gdybyś nie brała od mamuni ciągle kasy na benzynkę, żeby jeździć w tę i z powrotem kilka razy dziennie załatwiać jakieś fikcyjne interesy, toby nie miała argumentu, żeby cię zapędzać do porządkowych robótek.”

“Sama chcę posprzątać. Taki mamy zwyczaj, że sprzątamy zawsze przed świętami mieszkanie, gdy mają przyjść goście.”

“Jacy goście i co to za impreza, na którą ja nie zostałem zaproszony?”

“Z rodziną, intymne przyjęcie. Nie przychodzą na nie nigdy nawet żadni narzeczeni czy chłopacy.”

“Ta, a ciekawe, że z chujem Błażajem wybrałaś się na tropikalny rajd aż do Azji świętować klanowe wesele.”

“Nie traktowaliśmy tego wtedy w ten sposób. To była dla nas zwykła rozrywka.”

“A nie uważasz, że nabraliście kogoś w ten sposób? Bo dla nich to nie była rozrywka, tylko wydarzenie rodzinno-religijne właśnie. Dokładnie takie jak to, na które mnie nie zapraszasz. To znaczy: z jakimś lujem, który jest pojebem, jedziesz na drugi koniec globu fetować zlot kumotrów, a mnie tak traktujesz? Zaraz, Hanka, a czy ty nie rzuciłaś Błażeja, bo był nazbyt rodzinny? Od kiedy ty jesteś taka familijna? I jeszcze jedno. Czy ty w ogóle zapłaciłaś za tę egzotyczną podróż. Samolot ze cztery tysie. Hotele.”

“Już nie martw się tak o Błażeja. Oddałam mu połowę za bilet.”

Prasa donosiła w tym czasie o zwiększonej aktywności wojsk Korei Północnej na granicy z Południową. Kim Ir Sen – najprzystojniejszy przywódca na świecie – zapowiadał, że szykuje się do zbombardowania atomem Los Angeles. Robert De Niro poważnie zaczął się zastanawiać nad powrotem na Sycylię. Ja poczułem ulgę na myśl, że zaraz, wreszcie się to wszystko skończy. Klasa robotnicza, doprowadzona do granic rozpaczy, nareszcie dokona ostatecznej rozprawy z kapitałem. Moja narzeczona nie mogła pojąć, o co dokładnie mi chodzi. Że jak, że jakieś losy świata? Ona działa na swoją mikroskalę. Nie potrzebuje się zapuszczać w rejony przerastające zasięg jej bezpośredniego oddziaływania. Nie obchodzi jej to.

“Widzisz, Hanka, Žižek wspomina o dwóch typach psychologicznych. Jeden z nich to histeryczka: ona uważa, że nic nie leży w zasięgu jej oddziaływania – to ty. Drugi to maniak: w jego przekonaniu ma on władzę na uniwersum – to ja.”

Chciałem ją tym rozśmieszyć. Najwidoczniej przegiąłem. Na odwet nie musiałem długo czekać.

XIII - część 1/2

Kaf

Trzeba było jechać odebrać gotowe książki z drukarni. Kiedy skończył się druk i oprawa, zadzwoniłem po Hankę. Spod gilotyny wychodziły ciepłutkie egzemplarze. Po drodze w samochodzie z uciechy wsadziłem jej rękę w majtki. Zacisnęła uda.

“Zabierz tę łapę,” warknęła.

Ale ogólnie była ukontentowana. Wieczorem zabrałem ją na koncert punkowy. Wyglądała na przerażoną. Grała kapela z Rosji. Antimelodix. Chłopaki świetnie wymiatali. Atmosfera była super. Nawet Hanka wydawała się wpisywać w klimat, ze swoimi wisiorami z Jablonexu, w miniówie i w lakierkach. W domu zaliczyliśmy szybki numerek, bo musiała odwieźć w nocy mamę, udającą się na plenerowy piknik modystów. Nie wiem, co tam projektowali – skóry z niedźwiedzia?

Hanka chciała przyjechać do mnie następnego dnia. Przekonywała, że sama boi się spać w wielkim domu, z którym wiążą się niemiłe wspomnienia, związane z chorobą jej ojca. Przygotowała jakąś wałówkę. Podjechała po mnie samochodem do instytutu. Miałem tego dnia seminarium. Właśnie je skończyłem. Byłem wyczerpany. Podczas tych spotkań z kolegami badaczami, które potrzebne mi były do zaliczenia specjalizacji z doktoratu, borykałem się z wyżynami bezużytecznego idiotyzmu. Wychodziłem stamtąd zazwyczaj roztrzęsiony. Kiedy wkładałem rower do bagażnika saaba, natknąłem się na peta.

“Co to za kiepy? Podobno się zmieniłaś, jesteś teraz inną osobą, zostawiłaś przeszłość i złe nawyki za sobą?”

“Oj, to stare,” odpowiedziała. “Musiało skądś wypaść, gdzieś spod wycieraczki.”

“Tak lubisz sprzątanie, a od pół roku wozisz kiepy w samochodzie?”

“Czy byłeś też taki miły dla Mileny? Może dlatego z tobą nie wytrzymała.”

Świadomie uderzyła w mój czuły punkt. Nie pozostałem dłużny.

“Byłem miłszy, ale ona mi się podobała,” sprowokowałem.

Przy wejściu do teatru, gdzie miało odbyć się spotkanie ze znanym filozofem, w którym miał wziąć udział również mój promotor, Hanka zawiesiła się przy jakimś afiszu.

“O, popatrz, Anna Bolejn. Słyszałeś o niej historię, jak...”

Nie zdążyła skończyć. Pojawił się mój promotor ze sztabem mężczyzn w egzystencjalnej czerni. Hanka w czasie wykładu zadawała mi pytania, z których wynikało, że nie słucha. Ja szukałem odpoczynku od niej w fenomenologii. Po prelekcji udaliśmy się wszyscy do foyer teatru.

“Husserl jest bardzo modny we Włoszech, gdzie studiowałem,” zacząłem niezobowiązująco pogadankę z uczonymi.

“Tak?” zaciekawiał się wizytujący profesor.

“Tak, ale Husserl pod koniec życia zaprzeczył tym wszystkim swoim teoriom, o których pan opowiadał. Powiedział, że w świetle doświadczeń totalitaryzmu początku dwudziestego wieku – a był Żydem w Niemczech, wiedział, o czym mówi – nie da się zrobić totalnej nauki.”

“Jak to?” zaprotestował profesor. “Husserl zmarł przed wybuchem wojny.”

“Ale zdążył jeszcze doświadczyć dzięki swojemu wychowankowi, Heideggerowi, zakazu wstępu do uczelnianej biblioteki.”

“No tak,” zgodził się profesor. “A my dzisiaj jedliśmy z żoną wspaniałą gicę w restauracji. I jaki dobry film widzieliśmy w telewizji wieczorem.”

Następnie zamówili w teatralnym barze dwie herbaty Lipton z cytryną. Na drugim planie, za nimi, zamajaczyła mi Hanka. Mieszała w filiżance kawę ze śmietanką.

“Co ty robisz?” spytałem zaskoczony.

“Zamówiłam sobie kawę.”

“Widzę, że wracasz do klubowego życia. Wiesz, że światowy handel kawą i czekoladą opiera się na układach ekonomicznych ufundowanych w czasach kolonializmu?”

“Co ty?”

“Producent kawy, afrykański rolnik, który odwała całą czarną robotę, dostaje z tego dziesięć procent. Resztę zgarniają biurokraci z Nestlé, Jacobsa, Milki.”

“Nie do wiary.”

“Jesteś pasożytem klasy robotniczej. Ta dziewczyna tutaj musi ci usługiwać tylko dlatego, że nie urodziła się w takich luksusowych warunkach jak ty.”

Wkurwiałem się, ale chodziło mi chyba głównie o peta w aucie, którego musiałem własną ręką wyrzucić, brudząc ją sobie psychicznie i światopoglądowo.

“Współczujesz z jakąś tam kelnerką a nie ze mną, co tyle się znamy?”

“Zawsze staję po stronie uciemiężonych.” I skierowałem się z powrotem na salę wykładową.

Hanka poleciała za mną.

“Co to ma znaczyć?”

“Nic, tylko tyle, że jesteś teraz trochę bardziej po stronie burżuazji niż po mojej, niż kiedy przyszliśmy tu razem.”

Hanka odwróciła się i pobiegła do szatni po swoje rzeczy. Ja poleciałem za nią. Profesorowie obserwowali, jak potoczą się wypadki. Na razie elita prowadziła. Kelnerka ślęczała za barem. Wybiegliśmy z Hanką na ulicę.

“Nie wiedziałam, że aż tak cię to zdenerwuje. Zastanawiałam się przez chwilę, czy zamówić kawę czy herbatę. Ale uznałam, że wkurzysz się jednakowo.”

“Super, zdecydowałaś się jednak mnie wkurzyć.”

Wsiadłem na swój rower, który znajdował się u Hanka w bagażniku, i odjechałem. Kiedy dotarłem do domu, czekała przed nim Hanka. Miała przewagę.

“Nie lubisz mnie! Ciągle coś ci się we mnie nie podoba. Muszę pogodzić się wreszcie, że nie zdołam spełnić twoich oczekiwań względem mnie.”

“Nie ty mi się nie podobasz, ale wkurzają mnie porcelanowe bidety w twoim domu.”

“Mój dom to ja. Ja taka właśnie jestem. Nie wiedziałeś tego? Muszę przyzwycząić się, że nigdy cię nie zadowolę.”

Staliśmy parę minut, ja z jednej, ona z drugiej strony płotu. Wreszcie wysiadła z auta i podeszła do mnie. Weszliśmy do budynku. Ja usiadłem w kuchni, a ona stanęła w kącie.

“Pogódźmy się,” zaproponowała. “Przepraszam.”

“Przepraszam kelnerkę, nie mnie,” odparłem niewzruszony.

“Jesteś skurwysynem. Nienawidzę cię!” zaczęła krzyczeć i płakać. “Jesteś chujowy. Kiedyś byłem tobą zauroczona. Ale teraz dosyć.” Nareszcie się uspokoiła. “Kawa już ze mnie zeszła,” powiedziała, “jestem czysta. To co, mogę się przespać u ciebie, w nogach? Jest mi już wszystko jedno.”

Podszedłem do drzwi i uchyliłem je, sugerując, że może się wynieść – skoro jej wszystko jedno, to nie ma sensu się tu razem dalej męczyć. Wyszła bez słowa.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Tomasz Garncarek
Entropia
27/11/13 - 17/03/14

<https://www.siemysli.info.ke/entropia-powiesc-anarchistyczna-w-odcinkach/>,
<https://www.siemysli.info.ke/entropia-powiesc-w-odcinkach-cz-2/>,
<https://www.siemysli.info.ke/entropia-tomasz-garncarek-cz-3/>,
<https://www.siemysli.info.ke/12836/> i więcej
tekst oryginalnie publikowany w odcinkach, zdaje się, że nigdy nie został dokończony

pl.anarchistlibraries.net